

Putin w płaszczu feldgrau [FELIETON]

Strach sięgać po cyrkiel, by porównywać średnice różnych kręgów piekła – ale gdyby ktoś się na to odważył, prawdopodobnie uznałby, że prezydent Federacji Rosyjskiej nie przewyższył führera („jeszcze?” – szepce Ananke) w liczbie bezwzględnej ofiar – pisze Wojciech Stanisławski w nowym felietonie z cyklu „Barwy kampanii”.

W gazetach i w Internecie setki memów i karykatur, część karmi się po prostu groteskowymi niepowodzeniami armii rosyjskiej, większość kanalizuje nasz gniew i bezradność wobec dokonywanych przez Kreml zbrodni. Kilka ma w sobie przenikliwość haiku, zostają na długo, bez konieczności zapisywania ich na dysku. Wśród nich – dzieło Kaja Sternvalla, fińskiego grafika, który nie jest ani gwiazdą pierwszej wielkości, ani nie specjalizuje się w rysunkach politycznych: zwykle szkicuje nowe wcielenia Myszki Miki. Tym razem jednak sięgnął po legendarne zdjęcie z 8 marca 1946 roku, przedstawiające Hermanna Göringa składającego zeznania przez trybunałem w Norymberdze. Na rysunku Fina w jasnym, marszałkowskim płaszczu, trochę zbyt obszernym po więziennym wikcie i odstawieniu kokainy, siedzi lekko zgarbiony prezydent Federacji Rosyjskiej, Władimir Putin.

Fantazja! Nic niemal nie jest wykluczone w trzecim tygodniu rosyjskiego najazdu na Ukrainę, który postawił na głowie ład światowy: ani sprowokowanie przez Moskwę *katastrofy technogennej* w Czarnobyli, ani użycie przez kawalerów gieorgijewskiej wstążki fosforu,

napalmu i sarinu, ani wejście do gry, niczym w „Nienasyceniu”, chińskich oddziałów generała Wanga, ani, choć nadzwyczaj to mało prawdopodobne, jeden z tych spisków, które tak skutecznie eliminują w Rosji niechcianych carów – choćby przyszło, jak Nikołaj Zubow, kuć imperatora w skroń otrzymaną odeń tabakierą. Jednego tylko nie sposób sobie dziś wyobrazić: byłego prezydenta wydanego pod osąd cieszącego się powszechnym mirem trybunału.

Rysunek Sternvalla stanowi więc w moich oczach zapowiedź nie tyle konkretnych wydarzeń politycznych, co – być może – pewnego przesunięcia znaczeniowego. Miałoby ono dla rozumienia historii XX wieku równie wielkie znaczenie, co dla geofizyki – odwrócenie kierunku ziemskiego pola magnetycznego, zdarzające się raz na kilkaset tysięcy lat.

I nie myślę tu o banalnym „odbiciu obelgi”. To prawda, jednym z prowokacyjnie absurdalnych uzasadnień, jakimi Moskwa tłumaczy swoją inwazję na Ukrainę, jest potrzeba jej „denazyfikacji”. I – to prawda po raz drugi – epitet „fasyzm”, rozchwiany i obo-, a właściwie wszechsieczny jak żaden inny w XX wieku („Słyszałem już, jak »fasyzmem« nazwano: rolników, sklepikarzy, Kredyt Społeczny, kary cielesne w szkołach, polowanie na lisa, walki byków, Komitet 1922, Komitet 1941, Kiplinga, Gandhiego, Czang-Kai-Szeka, homoseksualizm, audycje radiowe Priestleya, schroniska młodzieżowe, astrologię, kobiety, psy – i nie pamiętam co jeszcze” – wszyscy kojarzą ten fragment z felietonu George’a Orwella, a pisał to het, w 1944!) został skutecznie ujęty w dłoń milionopalcą Moskwy i jej akolitów, by służyć odtąd jako pieczętująca najgorszych anatema. I – to prawda po

raz trzeci – nic nie może tak rozjuszyć Moskwy, aż do zatchnięcia się i apopleksji, jak określenie jej praktyk mianem „faszystowskich” („My »faszystami«?! MY...?!”).

Nie chodzi jednak, podkreślam, o zyg-zyg marcheweczkę, o znalezienie punktu, w którym najskuteczniej ranić można miłość własną przeciwnika wyśmiewając jego łysinę, słabą głowę czy ocieniające ją rogi. Idzie o sprawę nieporównanie poważniejszą: o przypisanie imperialnej Moskwie w kulturze i wyobraźni masowej rangi „immanentnego zła” w tym samym stopniu, w jakim przypisana ona została od 1945 roku praktykom, wyobrażeniom i fantomom nazizmu.

*Jeszcze miesiąc temu
przypisanie imperialnej
Moskwie w kulturze i
wyobraźni masowej rangi
„immanentnego zła”
wydawało się niemożliwe*

Jeszcze miesiąc temu
wydawało się to
niemożliwe. W Unii
Europejskiej – która
ma, trzeba jej to
przyznać,
imponujący dorobek
w zakresie tworzenia
papierowej

obrzędowości – żadna zorganizowana przez nią feta, parada czy święto nie okazały się tak czcze jak 23 sierpnia, „Europejski Dzień Pamięci Ofiar Stalinizmu i Nazizmu”, ustanowiony w 2008 roku. Nawet kwiaciarze i wytapiacze zniczy nie mają okazji zarobić w rocznicę paktu Ribbentrop-Mołotow: na zachód od Szwecji i Niemiec święto to nigdy nie było zauważone bodaj na poziomie zastępcy podsekretarza stanu, złożenia przezeń wiązki woskowych róż. Mniejsza o święta i parady: każdy komiks, każda okładka płyty, każdy francuski czy włoski

podręcznik historii jasno pokazują, komu przypadła na wieki rola *bête noire* – i choćby przyszło tysiąc „Archipelagów GUŁag”, nic to nie zmieniało.

Można by uznać, że skoro nie przekonały Zachodu zamarzone w szkło trupy stu narodów, tym bardziej nie przekona ich dorobek Putina. Strach sięgać po cyrkiel, by porównywać średnice różnych kręgów piekła – ale gdyby ktoś się na to odważył, prawdopodobnie uznałby, że prezydent Federacji Rosyjskiej nie przewyższył führera („jeszcze?” – szeptem Ananke) w liczbie bezwzględnej ofiar. Gruzy bloków w Bujnasku i przy Kaszyrskoje Szosse, gruzy Groznego, swąd Biesłanu, smród obozów filtracyjnych, gruzy Gori i Cchinwali, gruzy Donbasu i Aleppo, grupy Konotopu i Korostenia, Charkowa i Chersonia, Nikołajewa i Hulajpola, Kramatorska, Krzywego Rogu, Irpienia, Boryspila, Bojarki, Mariupola i Wołnowachy, ostrzał szpitala położniczego, rozjeżdżanie czołgami samochodów z dziećmi, a do tego szczerze rozdawane kapsułki z talem i nowiczokiem – no cóż, Wołodia, z tym wszystkim ciągle jeszcze trochę brakuje ci do Adolfa.

Tę różnicę dostrzegają, oczywiście, rozsądni przywódcy unijni – a to namawiając narodowe koncerny, by nie spieszyły się z ogłaszaniem bojkotu rosyjskich rynków, a to chroniąc swe czyste (choć czy aż tak?) geldryjskie i brabanckie uliczki przed autokarami pełnymi krzykliwych uchodźców.

Tyle, że w czasach, kiedy po sieciach internetowych skojarzenia i uniesienia przelatują na kształt dreszczy czy epidemii, poszczególne rezonujące w nich sceny i zdjęcia mogą zyskiwać siłę pocisku kumulacyjnego.

Nie myślę nawet o zdjęciach rozprutych wysokościowców, zwalonych żelbetowych mostów omywanych przez leniwe rzeki, ofiar nalotu z wypikselowanymi twarzami: takimi widokami przekarmili nas już, fotoedytorzy i atlasy zdjęć z XX wieku. Prawdziwej mocy nabierają te ujęcia, kiedy – niczym przy zdjęciach stereoskopowych – dwa nieznacznie odmienne obrazy, sfotografowane z perspektywy prawego i lewego oka, nałożą się na siebie, oferując nieoczekiwaną głębię. (Wypadałoby dodać: głębię *historyczną*).

To mogą być grudy ziemi, wyrwane przez odłamki z trawników porastających kijowski Babi Jar; teraz nocami jest jeszcze mróz, ale za kilka tygodni będzie wyraźnie czuć ich zimne, ziemne tchnienie. To może być fronton neobarokowego Teatru Baletu i Opery w Odessie, obłożony workami z ziemią w niemal identyczny sposób, co latem 1941 roku. Albo „jeź” przeciwczołgowy, stojący na jednej z odeskich szos: do setek spawanych naprędce w tych dniach szyn dołączono jeża z miejscowego Muzeum Wojny Ojczyźnianej, wrychtowanego w 1941 przeciw Niemcom...

Cała potęga symboliczna powojennego Związku Sowieckiego wzniesiona była na tym jednym: na dojściu do Berlina, *zdużeniu germańskiej gadziny*, pokonaniu III Rzeszy. Ta perspektywa kultywowana była, w coraz bardziej geriatryczny sposób, przez czas powojnia. Putin, po dojściu do władzy, ożywił tę blednącą już nieco pamięć, wpompował w nią nową krew. Przywołał ówczesne zasługi, bronił racji, które stały za pokrętną politykę ZSRS w latach 1939-1941 z równą siłą, jak pomników, sławiących marsz Armii Czerwonej w latach 1944-1945.

I nagle – w dwa tygodnie! – ustawił, z talentem twórcy batalistycznych dioram, swoją infanterię i tanki dokładnie na tych pozycjach – taktycznych i mentalnych – w jakich stały PzKpfw IV i kompanie Wehrmachtu w czasie tamtej wojny, która stała się usprawiedliwieniem wszystkich późniejszych czynów Moskwy. Skamieniały, sztywniejący, ujrzał nagle (kiedyś, być może ujrzy to jego kraj) w obrazie arcy-wroga, wroga założycielskiego – siebie...

Wziął i westchnął, twarz mu zbladła
I zalał się łez strumieniem.
I pocałował zwierciadło –
I cały stał się kamieniem.

Wojciech Stanisławski

Przeczytaj inne felietony Wojciecha Stanisławskiego z cyklu „Barwy kampanii”



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego